№ 22. Warszawa, 22 Października 1910 r.

Odrodzenie

Tygodnik polityczno-społeczny, literacki i artystyczny

№ 22. Warszawa, 25 Października 1910 r.

Odrodzenie

Tygodnik polityczno-społeczny, literacki i artystyczny.

Redakcja i administracja: Trębacka 10. Telefon 144-40.

STAN PIĄTY.

Jerzy Huzarski.

Do niedawna jeszcze inteligencja cieszyła się nietylko ogólną symapatją, lecz również i czcią.

Opromieniał ją nimb bezinteresowności, oddania się sprawie ogółu, zaparcia się siebie, i wogóle cnót, u innych klas niespotykanych zupełnie lub spotykanych nader rzadko.

Dopiero ostatnio posypał się na nią grad ciężkich zarzutów i pełnych goryczy oskarżeń o egoizm, posługiwanie się dla celów własnych cudzym ramieniem, o wyrachowanie, a głównie o nieszczerość! Ten ostatni zarzut brzmiał nieco paradokslnie, jeśli weźmiemy pod uwagę, że padł z ust inteligentów, którzy samym aktem biczowania inteligencji, a więc pośrednio i siebie, dowiedli nielada szczerości. Lecz paradoks to—jak zobaczymy później — bardziej pozorny, niż rzeczywisty, samo zaś wysunięcie tej kwestji i podjęcie zarzutów jest zjawiskiem wysoce doniosłym. Podczas dyskusji tej bowiem po raz pierwszy wysunięto kwestje istnienia inteligencji, jako odrębnej klasy społecznej. Dotychczas klasy takiej nie znano i zaliczano inteligencję do stanu trzeciego, burżuazji, której składową i nieodłączną część inteligencja ta rzekomo stanowiła.

Obecnie jednak spostrzeżono, że kwalifikacja taka nie jest zupełnie ścisła, że inteligencja stanowi jednak coś odrębnego od burżuazji, choć z niej się przeważnie wywodzi.

Nie chcę przez to powiedzieć, że dotychczas błądzono, podlegano pewnemu złudzeniu optycznemu, a dziś dopiero spostrzeżono właściwy stan rzeczy. Nie, poprostu sam stan rzeczy uległ ostatnio zmianie, a mianowicie społeczeństwo, krocząc po drogach rozwojowych i wciąż różniczkując się, dopiero niedawno poczęło wyłaniać z siebie inteligencję, jako oddzielną klasę, jako stan piąty.

Oczywiście, ponieważ proces formowania się tego stanu dopiero odbywa się, nie znajduje się jeszcze w stadjum ostatecznym, przeto stan piąty nie oddzielił się od innych tak dalece, jak ongi stan trzeci od feodałów lub jak w drugiej połowie zeszłego stulecia stan czwarty od pozostałych.

Lecz tym niemniej, gdy uważnie wejrzymy w życie społeczne, gdy rozejrzymy się wśród mnogości zjawisk spółczesnych, spostrzeżemy, że między inteligencją a burżuazją zarysowują się coraz poważniejsze różnice, a z drugiej strony inteligencja zajmować zaczyna coraz poważniejsze stanowisko, coraz poważniejsze i coraz bardziej samodzielne.

Wprawdzie nie przeciwstawia się ona w zupełności burżuazji, lecz częstokroć występuje wbrew interesom tej ostatniej, wprawdzie nie zespala się z proletarjatem, lecz działa częstokroć solidarnie z nim, co wytwarza pozór walki o proletarjat. Lecz jest to tylko pozór, w rzeczywistości zaś walczy ona nie o proletarjat, lecz z proletarjatem—a o siebie samą, o swój specyficzny interes klasowy.

Kilka przykładów wymownie zilustruje naszą tezę.

Oto np. nie ulega wątpliwości, że religja wogóle a klerykalizm w szczególe są dla burżua-

zji nader dogodne, jako bicze, trzymające w jarzmie szerokie warstwy ludu roboczego. Toteż obszarnik zarówno jak burgeois są religijni lub udają religijnych, gdy chodzi o nich, są szczerze religijni, gdy chodzi o lud.

A jednak w krajach jak Francja lub Włochy, w krajach w których proletarjat nader daleki jest od władzy, widzimy zwycięzką walkę społeczeństwa z klerykalizmem, widzimy pogrom kleru a tryumf wolnomyślicieli. Czyżbyśmy mieli przypuścić, że burżuazja jest o tyle naiwna, iż działa tam wbrew własnemu interesowi, iż dobrowolnie wyzbywa się tego instrumentum regni, które z takim powodzeniem przez wieki służyło wszelkiej władzy?

Oczywiście przypuszczenie podobne było by absurdem, gdyż burżuazja zachodnio-europejska stoi na tym poziomie kulturalnym, na którym rozumie się dobrze swój interes.

Lecz walkę ową toczy i kampanję antyklerykalną wygrywa tam inteligencja, która istotnie występuje w swoim interesie. A walka ta jest dla niej jednym z etapów ogólnej walki o panowanie i władzę. Jako inteligencja, z natury rzeczy panować ona może jedynie, zapanowawszy nad umysłami, gdyż nie przewaga fizyczna, lecz umysłowa jest jej atutem i orężem. Ponieważ zaś dotychczas nad umysłami panował, a poczęści panuje i obecnie kler, przeto ten ostatni jest dla inteligencji współzawodnikiem, jest śmiertelnym wrogiem, którego wyprzeć należy za wszelką cenę, by dorwać się do władzy. Jest to więc walka następcy z poprzednikiem, który nie chce ustąpić swego miejsca, walka, której losy z góry są przesądzone, gdyż kler wyśpiewał już swą pieśń i zbyt odbiegł od ducha czasu, by mógł współzawodniczyć z inteligencją—tym wykwitem najnowszych czasów, zbrojnym w bogaty arsenał współczesny.

Ponieważ kler, jako narzędzie duchowe ucisku, jest naturalnym wrogiem proletarjatu, więc też świadomy swych dążeń proletarjat z kolei staje się naturalnym sojusznikiem inteligencji w jej wojnie antyklerykalnej, inteligencja walczy tu więc wraz z proletarjatem co wytwarza złudzenie, jakoby walczyła ona o proletarjat.

Bardziej jeszcze klasycznej ilustracji dostarcza nam stosunek inteligencji do takich spraw, jak sprawa oświaty, hygieny, jednym słowem społecznej hygieny moralnej i materjalnej.

I tu znów bez trudu stwierdzić możemy, iż rozwój dziedzin tych wręcz kłóci się z interesem burżuazji. Ciemnota proletarjatu jest jej naturalnym sprzymierzeńcem, zaś oświata, pociągająca za sobą uświadomienie, jej śmiertelnym wrogiem. Hygiena ogólna lub specjalnie zawodowa jest ostatnią troską burżuazji, gdyż t. zw. zapasowa armja pracy jest jeszcze dość liczna i mięsa ludzkiego jest pod dostatkiem: przedwczesne żużywanie się organizmu robotnika, wzmożona śmiertelność wśród ludności roboczej nie jest więc dla burżuazji żadną plagą. Przeciwnie, stosowanie się do przepisów hygieny wymaga pewnych ofiar pieniężnych, respective obniżenia zysków z produkcji, czego burżuazja zbytnio nie lubi.

A jednak w krajach zachodnio-europejskiej działa prawodawstwo, opiekujące się zarówno sprawami oświaty, jak i hygieny. Czyżby miało ono być dziełem burżuazji? Czyżbyśmy znów wbrew logice przypuścić mieli, że burżuazja działa nie zgodnie z interesem swym, lecz zgodnie z zasadami humanitarnymi, że mówi przez nią dobre serce, (burżuazyjne dobre serce!? contradictio in adjecto)?

Oczywiście twierdzenie takie znów byłoby absurdem, należy więc znów i tu zgodzić się, że owo prawodawstwo jest dziełem intelegencji popartej przez uświadomiony proletarjat, inteligencji ,która bezpośrednio zainteresowana jest w rozwoju oświaty i hygieny.

Zakłady naukowe, szpitale, obowiązkowe posterunki lekarskie w fabrykach,—wszystko to wytwarza popyt na siły inteligentne, daje utrzymanie olbrzymim rzeszom inteligentów, — nic więc dziwnego, że inteligencja dba o to, by placówek takich było jaknajwięcej.

I tu znów interes klasowy inteligencji zbiega się z interesem klasowym proletarjatu, toteż inteligencja walczy tu razem z proletarjatem, co raz jeszcze wytwarza złudzenie, jakoby walczyła ona o proletarjat. Złudzenie to nabiera pozorów tem bardziej realnych, że inteligencja, nie mając jeszcze dość sił do samodzielnej walki apelować musi do proletarjatu, musi wyjaśniać mu potrzebę poparcia jej dążeń, musi wszelkimi siłami nakłaniać go do sojuszu. A w takich chwilach nie powołuje się ona oczywiście na swój interes, lecz na interes proletarjatu, przeważnie nie w imię swego trzeźwego mózgu, który o własnej korzyści myśli, lecz w imię rzekomo czułego serca, które

cudze dobro ma na względzie, nad cudzym uciskiem krokodyle łzy roni.

Tak więc udowodniłem, że obok czterech stanów powstał też stan piąty, posiadający swoiste interesy, a co za tym idzie swoistą psychikę, swoistą linję wytyczną działania. Udowodniłem dalej, że stan ten nabiera coraz większej samodzielności, że rośnie w potęgę i znaczenie i coraz większy wpływ wywiera na bieg życia. Potęgę tę czerpie on nietylko z własnego wewnętrznego zapasu, lecz również, a nawet głównie z poparcia proletarjatu, który z istoty rzeczy jest jego naturalnym sojusznikiem.

Ztąd nasuwa się wniosek, że interes klasowy inteligencji jest identyczny z interesem klasowym proletarjatu, Tak też jest w rzeczywistości; jest tak, ale nie odwrotnie. Innymi słowy: o ile interes inteligencji jest jednocześnie interesem proletarjatu, o tyle interes proletarjatu jest nie zawsze interesem inteligencji.

Gdy więc chodzi o specyficzny i wyłączny interes" proletarjatu, przy którym inteligencja swej pieczeni upiec nie może, wówczas albo zostaje ona na boku, albo też wprost przyłącza się do wrogiego obozu. To też widzimy, że szeregi sojuszników proletarjatu, z inteligencji w zagadkowy sposób topnieją, gdy ustaje walka antyklerykalna po obaleniu wroga, lub gdy wysiłki nad ustanowieniem prawodawstwa w sprawach oświatowych i hygieny zostają uwieńczone powodzeniem, gdy na porządek dzienny wysuwa się kwestja czysto robotnicza i proletarjat przedstawia do wypłacenia wystawiony niedawno weksel społeczny.

Spójrzmy chociażby na Francję, gdzie przed paru laty zaledwie każdy inteligent uważał się za skrajnego socjalistę, gotowego ponieść śmierć za sprawę ludu roboczego (wszakże chodziło o poparcie owego ludu w walce z Kościołem). Dziś podczas strajku kolejowego, podczas borykań związku pracy (Confedération Genérale du Travail) z policją napróżno szukali byśmy tych niedawnych przyjaciół. Wczoraj były ich setki, ba, tysiące, dziś doliczymy się zaledwie jeno stek. Chmary zaś Berangerów z „Action", Vuillaume'ów z „Aurore", Maujanów z „Radical'a" dziś albo milczą, albo popierają rząd w jego walce z proletarjatem.

A to samo na mniejszą skalę obserwujemy dziś i u nas, choć u nas mowy być jeszcze nie może o zwycięstwie inteligencji,a nawet o jej wpływie na bieg życia społeczno-politycznego.

Dopóki proletarjat wyciągał z ognia kasztany polityczne, cała inteligencja była socjalistyczna (ściślej snobistyczno-socjalistyczna), — jak wyznaje „Prawda„ przez owczy pęd.

Dziś, gdy kasztany owe okazały się zwykłą figą, a proletarjat przeszedł do innej działalności — wczorajsi socjaliści stali się anty-socjalistami, ba ogłosili już socjalistów za zdrajców ojczyzny. Jutro może będą nawoływali do krucjat i podadzą rękę biurokracji.

Przewiduję liczne zarzuty, które postawić można mym założeniom i dlatego zapowiadam zgóry ewentualnym oponentom, iż szemat, który obrazowałem powyżej jest tylko szematem, a więc stosuje się jedynie n a o g ó ł, nie zaś do każdego poszczególnego członka pewnej klasy. Jak każda reguła, tak i ta posiada wszak wyjątki.

Wreszcie sama podstawa operacyjna mych dociekań może być zakwestjonowana przez tych, którzy nie uznają słuszności t. zw. materjalistyczno — klasowego szablonu, przeczą mu, by interes i korzyść były jedyną dźwignią działalności.

Te wszystkie kwestje omówię w najbliższym artykule: postaram się wskazać regułę, do której z kolei stosują się wyjątki, postaram się uzasadnić racjonalność owego szablonu klasowego, a wreszcie wyciągnąć z teoretycznych przesłanek praktyczne wnioski, dotyczące chwili obecnej.

Dokąd tak będzie?

Kiedy w październiku zeszłego roku okradziono obraz Częstochowski, to ze wszystkich stron odezwały się głosy, że to „ci” „bezbożnicy” „ci” różni „niedowiarkowi”, „masoni”, ludzie z ulicy Kruczej lub też ci przemądrzali „zaraniarze” zrabowali to święte polladjum narodu.— Jękom, „dusz pobożnych“ nie było końca, przez całą Polskę, jak długa i szeroka szedł błagalny jęk pod akompanjament przeróżnych złorzeczeń na tych niegodziwych wyrodków, co świętokradzkimi dłońmi ściągnęli klejnoty z narodowej świętości.

I oto kazano ludowi modlić się, aby złoczyńców pochwycono. I odprawiano nabożeństwa błagalne, i lud, korząc się w prochu, modlił się — płakał, kajał, złorzecząc na tych niedowiarków, heretyków, co takiej oto dopuścili się zbrodni.

A papież Rzymski ulitował się nad „nieszczęściem narodu” i łaskawie raczył dać koronę nową, aby przecież pocieszyć ten „ukochany naród polski”. I odprawiono jak tylko można najuroczyściej „narodowe święto”; na obraz Jasnogórski włożono podarek papieża Rzymskiego. A we wszystkich kościołach, ze wszystkich kazalnic, rozległ się jeden głos:

„Ludu Polski, idź na Jasną Górę, bo tam święto wielkie. Niechże się rozradują serca wasze, idźcie jak najliczniej, pokażcie światu, jaką czcią otaczacie cudowne miejsce. Niech „ci” niedowiarkowie będą zawstydzeni. Idźcie, porzućcie wasze prace, Bóg wam to nagrodzi. I lud, ten biedny, poszedł, poszedł o chłodzie i głodzie, poniósł swoje ciężko zapracowane ruble, aby je złożyć tam... na świętym miejscu. A ojcowie paulini i ich goście pili dobre, stare wino, a lud umierał z głodu i wycieńczenia. Ale ruble dawał. I .. była wielka radość „w panu” Aż tu jak grom spada wieść, że na „cudownym miejscu ojciec paulin zabił człowieka — swojego brata, że żył w kazirodczym stosunku z tegoż brata żoną, że wywoził kryjomo trupa, i brał świętokradzką przysięgę, że go niewydadzą,

A potym, gdy strach przed odpowiedzialnością zajrzał mu w oczy, to drapnął z kochanką, dla której, a może z którą kradł złoto i klejnoty z ołtarza, i pieniądz wyłudzony od biedaków,

A gdy go złapano, to opowiada, że on bił go siekierą, a potym „rozgrzeszał” ofiarę, a potym dusił. A lud przez wieki czcią otacza jasnogórską świątynię, kolanami żłobi miejsca w kamieniu. Całuje „czyste” i „świętobliwe” dłonie „białych ojców”. A ojcowie, nie obmywszy dobrze rąk „z krwi brata” rozgrzeszają rzesze, odprawiają msze, i błogosławią tłumom. Oto obraz godny pióra Danta. I dokąd że te zbrodnie trwać będą? Dokąd tak ohydne oszustwo ukrywać się będzie pod szatą świętości? Dokąd obłuda służyć będzie za pokrywkę dla zbrodni, i zwyrodnienia? Oto tak długo aż światło wiedzy, oświeci mrok nocy, w cieniu której obłuda rozpościera swoje panowanie, obłuda i zbrodnie okryte szatą świętości i czczone na kolanach.

Tomasz Nocznicki z Lipia.

TAJEMNICZE MIASTO.

Nowela Edgara Poe.

Będąc Amerykaninem, dużo podróżowałem po Europie przez lat kilka. Między innymi dziwami przeżyłem raz widzenie przyszłości pewnego miasta, w którem zaprowadził spokój książę Paskiewicz; nie wymieniam nazwy miasta, znając pogardę amerykanów dla rasy, która te stosunki wytworzyła. A celem moim jest tylko kontemplacja rzeczy potwornych, nie bijąc o nich w alarmowe Iwany Kołokoły. Choć wyznam, że gdybym na chwilę jedną wybrany był pastorem tajemniczego miasta, zostawałoby mi tylko: sprowadzić małpy najsprośniejsze i hodować je na Kępie Saksonów, jak to czynił brat ostatniego tamtejszego króla — i zapraszać do tych małp kawalerów i damy, aby to było dla nich kazaniem — kim być nie należy; albo — zasadziłbym w ogrodzie Botanicznym, gdzie jest kaplica 3 Maja ziarno sykomory, tej mianowicie, na której obwiesił się jeden z antyapostołów Bytu istotnego, Jezusa — i doczekawszy się długich siwych włosów— obwiesiłbym dziecię nowonarodzone naj-

wścieklejszegó z „piskatschi” tamtejszych. Słownikarze, o ile kiedyś zechcą sprawdzić język moich utworów, ze zdumieniem natrafiać tu będą na wyrazy barbarzyńskie.

Te jednak mają swój zapach przykry, lecz odpowiedni. Wyraz ten oznacza pono mówcę, który z równą energią wymyśla przez rok cały księżycowi, jak przez rok cały, chwaląc swych kumów, nie powie słowa prawdy. Gdyż wszelka przypadkowa prawda jest zohydzona tendencją udawania działacza społecznego, gdy indywiduum jest knajpiarzem, bałagułą, defloratorem i sześciu lub więcej dam utrzymankiem (yes!) inny wyrasta na herosa, kiedy walcząc, przeciw ambonom i hederom — nabiera (skromny pisarz aktów grodzkich) cech najkrzykliwszego mełameda.

Opowiem, jak to się stało, żem ujrzał płaczu godną przyszłość niegdy i raczej niedawno tak heroicznego miasta.

W Syryi poznałem czcigodnego szejka Omr-al-Dżafnę. Za wyleczenie jego piętnastoletniej córy z egipskiego zapalenia oczu, dał mi sygnet z trójgranem berylu, w którym zawarta była kropla ciemna.

— W chwili zwątpienia—to odkryje ci drogę,—rzekł z właściwą Wschodowi tajemniczością.

Wyjechawszy z Egiptu, poznałem dwuch szlachciców, którzy na pysznych rumakach konno objeżdżali Grecję. Z nimi zaprzyjaźniony, ruszyłem do ich ojczyzny też na dzielnym arabie. W strojach fantastycznych wyglądaliśmy jak widma rycerzy Mahometa, jadące ku krainom Eblisa. Zresztą, wyznam, iż kraj dość jest ładny, acz brud niezrównany po chałupach, a pretensja do kultury wysokiej i kosmopolitycznej w pałacach.

Stanąłem na jednej z pryncypalnych ulic tego miasta, zwanej Zapiecek. Tu stała wielka kamienica kasztelana Minusiki, w której widma dziadów mięszały się do gry karcianej namiętnych a tępych starościców i szambetanów. Lecz wwiedli mię tam moi przyjaciele, ypy Hamletów, którzy widząc przy kolacji widma wspomnieli, iż trzeba ratować Elsynorę. Cóż powiedzieć—rok 1837 zakończył się straszliwem katowaniem tych, między którymi i ja się znalazłem.

W więzieniu, mając już być prowadzonym między dwie roty uzbrojonych w kije żołnierzy— i wyobraziwszy sobie zbite w łachmany ciało, naelektryzowane tylu melodjami nadświatów— postanowiłem nie z tchórzostwa przed bólem, lecz z pogardy dla takich praw — własną ręką zakończyć swe dni.

Wypiłem kroplę w berylu zawartą. Narazie patrzyłem w wierzchołek brzozy za oknem więziennem, lecz wtem ujrzałem noc,— przelatujące meteory — usłyszałem huk setek rozdartych naraz śpiżowych zasłon—zerwałem się na równe nogi, biegłem — niby wśród trzęsienia ziemi w Lizbonie — i znalazłem się na placu Saksonów, uderzając głową fatalnie o niewiadomo skąd wyrosłą tam budowlę. Zrozumiałem, że płyn wypity dał mi wyzwolenie,, lecz to co było dokoła mnie — —

(Tu woda morska wyżarła parę stronic w rękopisie.)

...Myślałem nieraz o Bestji żerującej, Bestji nieludzkiej, Bestji z typu tych istot, które fantazja przedstawia jako galaretowate mózgi zapięte w pancerz i niedosiężne dla żadnej broni Europejczyka; jedynie bakterje zeżrą te inteligencje karaluchów gigantycznych, niebezpiecznych, żwierzęco-mądrych.

Daremno szukałem Bestji w Londynie, idąc nocą za człowiekiem tłumu.

Wszedłem raz do salonu wnuka owego kasztelana Minusiki, pana handlującego ideami pod znakiem Trzy Pęcherze, który, przyjmując tłumy ubóstwiającej go plutokracji żydowskiej oraz tłumy gołych wybrańców z rasy aryjskiej, mówił do mnie, ukazując mi dwie półki książek:

— To czego nie miała Aleksandryjska 700 tysięczna książnica—tu jest.

— A cóż tu jest? rzekłem cicho, przejęty dreszczem, który mnie chwyta przed każdą zagadką.

— Moje niezgłębione papyrusy, lub dziełka, które ja przeczytałem i odtrąciłem. Bo ja, proszę pana, jestem nietylko uczonym, ale jestem odkrywcą. Nietylko odkrywcą w rodzaju zwykłego komiwojażera Kolumba, ale odkrywcą — że niczego niema, świata niema, słońca nigdy nie było, duszy nigdy nie będzie. W ustach mych nie brzmią te pojęcia, tylko gdy im zaprzeczam. Niema nic—! nieistnienie w istnieniu, ustatkowane monizmem, potrójny niebyt Mojżesza, Pała i Jeszuhy — zatem niebyt ras chrześcjańskich i semickich, a ponieważ one coś miały wiedzieć o rasach innych i tworzyły legendy, więc niebyt niczego, prócz mej wiedzy, prócz tego, co tu na półce.— —Tu dżentlmen wlazł mi na stopę, i wpadł w taniec świętego Wita, zakończony konwulsjami. Podjąłem

go z godną ubolewania impresją, że cośkolwiek jest przedemną — i widząc, że wierzga nogami w kierunku własnej bibljoteki, ułożyłem go możliwie wygodnie na sofie, zasłoniłem parawanem i wmięszałem się w tłum gości.

Ujrzałem niezadługo dżentlmenów, wyglądających na maklerów, a wszyscy ubrani z przesadną elegancją, znikali czasem w ciemnych kątach, żeby wytrzeć nos w brudny łachmanek, lub o meble.

Zauważyłem jednak, że niektórzy wyciągali coraz to inną chustkę z kieszeni, mieli też po trzy portmonetki i po kilka portfeli. Byli sympatyczni i rozmowni, podawali mi bilety wielkich firm, w których współpracują, lub banków założonych w Wierchojańsku dla umierających z głodu wygnańców. Wszyscy szybko pokumali się zemną, dzięki tej śmiesznej właściwości tubylców, że wszyscy przedstawiają się sobie i nikt nikogo poznać nie usiłuje.

Ja jednak wpatrywałem się i mimowoli spojrzałem na tablicę zawieszoną przy tłumie, wesoło pożywającym lody i pijącym szampana.

Gardez vous des voleurs! Gard of pickpockets!—Kto ją tam zawiesił? nie wiem—lecz wzrok młudziutkiej córki pana domu, która podążyła za mym wzrokiem i położyła palec na swych ustach—dowiódł mi, że to ona jest właśnie czcigodną wieszczką moralności i niemniej dobrą znawczynią stosunków życiowych.

Ale mimo obserwacji mych, tu nikt nie zapuszczał rąk do kieszeni cudzych. Wtem nagle zmieniłem się w słup gorejącej uwagi.

Dyskretnie, najswobodniej flirtując z damami i towrazystwem właścicieli wyścigowych stajen— pewien interesujący mię oddawna ichmość nagle nachylił się za parawan. Nikt tego jakoby nie widział, lecz ja zauważyłem długi misterny ryj, którym zaczynał żłopać—i o przerażenie moje! znienacka ukazało się mi za eleganckim parawanem kominka wirujące odrażliwe bagno.

Błysnęło mi radosne uczucie exploratora— czyżby to był ów najdziwniejszy okaz Bestji? twarz jego istotnie przestała mieć znamiona — ludzkie, ujrzałem potwornie zużytą cyniczną maskę, błyskają oczka filuterne, migają ku otaczającym, jakby porozumiewając się czy zapraszając.

Kilka osób krótkie swe ryjki łączy z mackowatemi naroślami na ryju Ichmościa — ten zaś nachyla się nad bagnem i ssie.

I w następnym momencie widzę, jak wszyscy tyją, rozrastają się, ręce ich zaczynają łyskać brylantami, a nawet obcasy i podeszwy złotnieją—inni których nie dopuszczono do zasadniczego ryja, chylą się z głębokim szacunkiem—!

Ty, posągu Nike skrzydlatej, z utrąconą głową, która jakby na ironję świecisz śniegami swych marmurów w kącie salonu—tak—z szacunkiem chylą się, złączeni magnetycznym pierścieniem żuiserstwa — jak karykatura tych, o których wspomina Platon w pięknym djalogu, poświęconym przyjaźni— Ijon.

Widziałem już Bestję, jak odchodziła, wtuliwszy pod elegancki krawat ten swój ryjek, zwinięty w trąbkę, jak u motyla — i motylim fruwającym krokiem idzie pod rękę z melancholijną piękną śpiewaczką, która wierzy, kocha się na zabój w Bestji!—tłumy wytworne witają parę idącą, niby istnych tryumfatorów, podają męskiemu osobnikowi zaproszenia na rauty, na obchody narodowe, na sosiety z okazji przejazdu nuncjusza lub księcia z dynastji perskiej.

W twarzach daremno szukam tego ognia, który znałem u dawnych heroicznych mieszkańców miasta.

Złowieszcza myśl kreśli swe hieroglify w jestestwie widza, który wyczuwa nad wszystkiem fale Kosmicznego Oceanu.

Zadumany, nie umiejąc zdać sprawy z tego, co właściwie jest tu strasztliwem, czuję grozę przechodzącą w majaczenia z Inferna Dantejskiego.

Przez długi czas miałem wrażenie jakby brzęczącego trzmiela, który w kwiat Lotosu błękitnego zanurzył się—i rozrywał delikatne ściany kwiatu, aby wydrzeć odrobinę miodu...

Ten i ów przechodzień na ulicy wspomniał z tajemniczym lękiem imię Bestji, lecz nikt mówiąc to, nie patrzył odważnie z zamiarem jakiegokolwiek czynu. Niema zbrodni tak wyrafinowanej, któraby nie sprzęgła się nagle w podświadomości wszystkich z obliczem dżentelmena, którego widziałem smakowicie wysysającego bagno.

Widz z innej półkuli ziemi — idę wśród mroku Miasta Zadżumionych, nad moczarem zieleniejącym od zgnilizny, pełnym mgły duchowej —

nad miastem, które znało niegdyś twórców najlepszej konstytucji, które zasłużyło się pracą wśród myślicieli Arjan, które miało wielkich Belwederczyków —

miasta dawnego niema już, choć pozostały jeszcze trupy dawnych ulic, choć wierzą niektórzy, iż mieszkańcy lepsi kryją się po domach.

W tajnych anonsach zwie się to miasto Makarelowil, bo tu władczym typem kobiet staje się wystrojona stręczycielka. Bywałem na ich rautach, gdzie konferuje się o młodych artystkach, z których każda musi mieć swego protektora; ten jej łoży na suknie, gdy występują w Narodowych Świątyniach, jako kapłanki. Na tych rautach również omawia się dobre recenzje dla pisarzy, służących w organizacji „Mamląca Hyjena", którzy zachwalają sekretne przyrządy, opisują dreszcze swych natchnień, gdy dog spółkuje z kobietą; tu notoryczni włamywacze w białych szatach mnichów nawiązują znajomości z natchnionemi harfiarkami. Bestji nie spotykam już... czasem tylko, wpatrzywszy się w jakąś dobroduszną postać — nagle z boku, nie źrenicami, lecz kątem oczu, jak włosi mówią con del occhio, dostrzegam żerujących ichmościów, którzy ostrożnie długimi trąbkami rozgałęzionymi w ryjki i macki sięgają do cudzych kieszeni, do cudzych wnętrzności — i o, wstręcie!—do cudzych dusz... — Kiedy wglądałem się w nich twarzą w twarz, stawali się galaretowaci, mgliści — po chwili widziałem tylko dobrodusznego człowieka zawsze z łezką w końcu oka nad publiczną niedolą. Towarzystwo zgromadzone mówi, że kogoś należy wywyższyć, uznać czyjąś zasługę; należy zakupić dekoracje teatralne po „Wałachach" wystawianych w Świątyni Narodowej — i buńczukami z tego włosia bawić niemowlęta, natarłszy je wprzód szarą maścią. Niemowlęta będą nabierać tężyzny, wyrosną im husarskie skrzydła. — Prezyduje zwykle na dobroczynnych balach Hrabina Tarna-vacca; uwolniona z weneckich kazamatów, owacyjnie została przez rodaków i rodaczki obrzucona mimozami, jako ta, która imieniu narodowemu nie dała zgasnąć. Hrabina będąc dziewczynką przekupywała służące, aby ją ukryły pod stołem, gdy zejdą się ich kochankowie i rozpocznie się orgja.

Dorósłszy, nie rozwinęła jednak w pełni swych zdolności, bo zamordowała ledwo niektórych ze swych legalnych mężów: weneckie sądy na razie miały do niej małe, zresztą ułagodzone, pretensyjki.

Z Hrabiną młody baron Rościsław, który zamordował na razie trzech braci swej żony, i miał siedemnaście procesów o sadyzm, uprawiany wraz z nadrzecznymi Rozpruwaczami oraz pierwszymi lordami stolicy — świecił tu blaskiem swej wymowy, przyjęty i uznany jako godny następca norweskiego pisarza, Henryka Ibsena. Tyle bowiem dopatrywano głębokich idei w jego dramatach: Łoże na wirchach, Troglodyta, czyli konfitura z damskich oczu i t. d.

Szambelanował dowcipny Izydor Sinobrody, kuzyn najbogatszych trzech otrębowych młynów, który byłby nawet niezłym człowiekiem w towarzystwie Poinsa, Falstaffa i Dosi drze— Pościel. Ten miał pasję protegować wszystkich, którzy choć raz „wstawili się" z nim u księcia Gruboturskiego, mającego nocną restaurację. Z równą łatwością szambelan był druhem, jak i stawał się najwścieklejszym wrogiem; znany z bezcelowych poniżeń, dał się używać specjalnie jako karawaniarz narodowych gwiazd, które należało grzebać nieco prędzej, niż umarły.

Wogóle naród, o którym mówię, miał w najwyższym stopniu upodobania nekrofilskie. I zanim opowiem straszliwą przygodę, o wiele przewyższającą wszystkie me przeżycia w Malstremie i Mumji, wyrażę tylko me obserwacje czynione na tysiącach pogrzebów, iż zazwyczaj tu grzebano osoby śpiące w letargu.

Bankiety na cześć zasłużonych kończyły się stale tem, iż tych zasłużonych najbardziej patetyczni mówcy nagle przysiadali, nawpół zduszonych zapychano w kąty, te się rozstępowały i nieforemne zwłoki, lecz jeszcze żywe, zamurowywano w katakumbach. Zanim tam zejść, zacząłem śledzić życie huczne i strojne tego miasta — wykryłem miejsce, gdzie przepaść zarysowuje się wyraźnie tylko dla jasnowidzących. Tłum zaś wali się tam masami, nie mogąc przepaści zapełnić. Podobni mrówkom, które wpadają do butelki zakopanej w mrowisku i wysmarowanej miodem, tysiące i krocie tysięcy tych nieszczęsnych „wykolejonych" mrowi się w otchłani, nie umiejąc z niej wyjść; jedni drugim wdrapują się na ramiona, a każdy ma nad sobą kilka pięter żywych gniotących go ciał.

Przyglądałem się z okien kawiarni „Na Pajach" przez wielkie lustrzane szyby temu tłumowi zadżumionych, skazańców, zawsze filuternych i nie tracących nadziei. Działo się to dzięki temu, że Organizacja Mamlącej Hyjeny puszczała w rurach kanalizacyjnych po mieście Rozweselający Gaz. Wszyscy byli weseli—i ten, któremu sąsiad odgryzał ucho i ten

który w zupełnej anestezji nie zauważał, że nogi jego palą się w kominku, on zaś zaczytywał się w Suśle – tak zwał się najmilszy organ tutejszej prasy.

Tymczasem w powietrzu brzmiały Zygmuntowe dzwony żałobnej mszy napowietrznej; obnoszono posągi Wieszczów — utworzono illuzjon Golgoty, na której wisiała Siostra Miłosierdzia przedstawiająca naród; jednocześnie we wnętrzu tych olbrzymich narodowych posągów działy się sceny haniebne, z których najmniejszą było—śpiewanie wiekowych hymnów nad złowieszczymi mętami, gdzie wrzucano embryjony z Publicznego Domu; zaśmiecano kratery miłości, aby w nich wytliły się rozrodne ogniska życia domowego. Uprzyjemniały życie miłe spacery i Korsa po wielkim ogrodzie Spluwaczki, gdzie wszyscy mieli zwyczaj jeden drugiego oczerniać.

Żal mi było Wieszczów, bo ci nie ustępują naszemu Longfellowi, a nawet mogę przyznać, że nieraz przewyższają piewcę Hajawaty.

Postanowiłem Miasto przekonać, że jest z nim źle.

Zresztą wiedziałem dokładnie, że szykują się zastępy sąsiedniego mocarstwa dla zagarnięcia miasta, które wydało dawniej Kościuszkę, Puławskiego, teraz zaś tylko wynalazców najlepszej pasty na obuwie.

Postanowiłem rozniecić na najwyższej wieży, która nad miastem się wzniosła, pożar.

Na tej wieży świętego Jana zebrane były jeszcze wszystkie niestłumione lonty z dawnych wypraw i walk.

I tam tylko dość było rzucić iskrę, aby wybuchnął feeryczny pożar,—i wtedy do tłumu na chwilę stającego się poważnym — mógłbym przemówić... Ach — i mówić miałem nie sam, ale wraz z jedynym mym druhem—starym Mistrzem Wolnej Myśli, który w nędzy umierał w przytułku. Przygotowaliśmy sobie potężne tuby, wzięte z prastarych średniowiecznych organów—całe ze srebra.

Nastał wieczór decydujący.

Weszliśmy na pierwszą kondygnację wieży—za pomocą elektrycznego przyrządu zapaliłem na szczycie proch i lonty — wybuchnął pożar!

W jednej chwili, niby gorejąca olbrzymia pinia — płomienie wraz z dymem zawisły nad miastem, rozświecając je w niewysłowione Inferno, pełne czeluści, pełne kościołów, pełne moczarów —

nad wszystkiem zaś górował las krzyżów cmentarnych—wiódł do gmachu więzienia, obliczonego tak, że cały naród mógłby tam być zamknięty.

Zbiegły się rojne tłumy u stóp Wieży.

Raz pierwszy widziałem tłum tutejszy uroczystym.

Stało się to dzięki temu, że rury kanalizacyjne, przeprowadzające gaz rozweselający zostały przez nas przecięte —

w ten sposób całe miasto spoważniało.

Zaczął mówić starzec Mistrz —

gdy wtem ja, przygotowujący się do mowy drugiej i ostatecznego wezwania —

ujrzałem potworną monstrualną Bestję.

Niby pająk królujący nad siecią —

siedział nad więzieniem, nad krzyżami cmentarza wampir Galaretowaty.

Wypluwał z siebie ohydną ciecz —

i z tej czynił sieci—i wszyscy już byli osnuci niemi.

Lecz ku czemu teraz zmierza — nie mogłem odgadnąć.

Naglem zrozumiał: oto trzymał w rękach lampę z reflektorem, potężny promień Opinji rzucił na wieżę gorejącą —

i tłum ujrzał nad wieżą niby w kinematografie, niechlujne sypialne sceny; potem rzucił na twarz Mistrzowi bure promienie, które twarz zniekształciły i uczyniły warjacką; nakoniec uczułem wgryzające się światła w moje czoło — i po źrenicach oburzonych tych kroci tysięcy ludzi poznałem, iż mam na czole wyryte jakieś miano, którego wyczytać nie umiałem.

Bestja opinji kąsała mnie swymi promieniami.

Wydobyłem z siebie głos, by ostrzedz przed moczarem — gnijącą wodę radziłem odprowadzić do jeziora, jak to czynił Faraon, kopiąc Meroe—ostrzegałem, iż poznawszy Bestję, nie radzę iść nieopatrznie za jej reflektorami.

Lecz głos mój był tłumiony warstwami burej masy powietrznej, którą pchał ku mnie ów Galaretowaty Wampir.

Nie mogłem poznać jego oblicza.

Co to? porwały mnie niewidzialne ręce, obronić się im nie mogę, jest ich mnóstwo — jakby głowonóg uniósł mnie z szybkością pędzącego huraganu. Ogłuszono mię mnóstwem ciosów.

Bił mnie i szambelan Sinobrody uderzeniem dobrze wycelowanem w to miejsce kręgosłupa, gdzie szyja sięga ramion; deptał mnie dobroduszny kataryniarz, który w swej tancbudzie bawił publiczność tem iż będąc ramolli, śpiewał wciąż o młodości i pończoszkach

Elegancki jakiś pan zadał mi scyzorykiem kilka ukłuć w bok, inny — wielki okkultysta — starannie przeżynał ścięgna u moich nóg, tak żebym kroku już zrobić nie mógł. Mądry pan Minusiki ściskał mi przyjaźnie dłoń i patrzył w me oczy. Wtem — niejaki autor jednego z licznych „Wałachów" nabrał na łopatę gnoju — i z temperamentem rzucił mi w twarz.

Odrzuciwszy te niepoważne argumenty, obejrzałem się, czy nie znajdę walczących w sojuszu ze mną. Wielu ludzi dzielnych siedziało w kawiarniach, i zaczytywało się w doniesieniach o rewolucji w Kambodża lub przelocie Słonia przez Ocean. Żaden z nich nie ruszył mi na pomoc. Zdaleka dojrzałem wprawdzie niektórych, którzy jakby poruszali ustami, lecz ani głos ich nie dolatał, ani sił nie mieli przedrzeć się ku mnie. Wtem mądry pan Minusiki nachylił się i cichutko ścisnął moje gardło. Straciłem przytomność!

Więc tak... zacny druh! — z rycerskiego rodu!...

Podziemia. Ocknąłem się w kamerze tajnej.

Tam poznaję dobrotliwego mędrca pana Minusiki. Stoją wokół ichmoście o twarzach wymacerowanych rozpustą, o wargach otyłych gadów, które trawią, ze ślepiami, które Goja widział u nikczemnych mnichów, co ssą swój własny organ, zapijając winem.

Jeden z nich delikatnie mię związał szpagatem, otulając wprzód bibułkami.

Drugi natomiast butem o podkutym obcasie wykręcił na policzku parę wesołych pas, rozdarł głęboką szramę i rozdeptał mi oko. Trzeci postawił mnie mdlejącego na nogi, lecz na to, aby podbić zręcznie i bym upadł w kałużę pełną gorejącego bagna.

Sparzyłem się okropnie i kiedy chciałem obetrzeć łzy, czy błoto gorejące, złamano mi palce między kratami.

Okiem jedynem patrzyłem w sumienia tych, którzy kiedyś wydali Kopernika i Zawiszę.

Na chwilę zostawiono mnie w spokoju.

Ale skądże ta ohydna poufałość?

Pan Minusiki mówi, żem jak pastuch gąsek wziął wieżę św. Jana za coś istniejącego; szambelan Sinobrody mówi mi na ucho, żem plotkarz, bom gadał niepotrzebnie o Bestji, kiedy jest tyle przyjaznych na wszystko sposobów; kataryniarz nacierał mięszaniną smarowidła tramwajowego wraz z kosmetykiem teatralnym moje rany, osiągnięte w walce o niepodległość Grecji wraz z lordem Bajronem. Pan Minusiki wziął się zaś do swego Mistrza i rozciągnąwszy metafizyczne skrzydła starca, wylał na nie kubeł z przemierzłą nie dającą się narazie zmyć cieczą, mówiąc słodko i dobrotliwie; nieuku, ignorancie, wieża św. Jana jest właściwie tylko ustępem narodowym, z którego tylko ja jeden potrafię wyczynić Myśl Wolną.— Nie dosłyszałem już dalszych słów — zapadłem w jakąś zatokę modrą — w bezczucie, w smutny raj śniących, których mordują.

Usłyszałem jeszcze, niby intermezzo, głos Bestji, która mówiła tonem szczytnego patosu, jak tylko człowiek uczciwy, widzący za kulisami dziennikarstwa, mówić może. A mówił — mnie zarzucając deprawację Miasta. Tak więc, jestem z roli oskarżyciela sprowadzony do oskarżonego.

Słyszę głos dam ultra etycznych, które mówią, iż ja wniosłem syfilis do ich łoża, słyszę komentarze Bestji kłamliwe, bezczelne, węgożowate do mych „Dzwonów"—widzę wolnomyślicieli, którzy zalecają prędki mój pogrzeb bez udziału nawet najdalszych przyjaciół.

Wszystko rozumiem, tylko nie mogę już skinąć nawet powieką.

Oto czuję się niesionym na marach.

Cisza długa.

Milczenie pełne ściekających błyskawic z murów, które opierają się aż o najdalsze gwiazdy.

— — — — — — — — — — — —

Wstałem, kiedy była noc—lub raczej wstałem pośród zupełnej, ciągłej nocy.

Wyskrobawszy odrobinę fosforu z gnijącego pnia, szedłem, potykając się o trumny. Wszędzie ludzie tam spali, pod nakrywą okratowaną.

W jednej trumnie ujrzałem matkę, która urodziła, widocznie budząc się z letargu — niemowlę—i nie mogąc je nakarmić, ani z trumny wyjść, wydarła sobie pęk włosów. I tak, z pękiem włosów w garści, z okropną kałużą, w której pławił się noworodek, z twarzą pokurczoną i oczyma oskarżającymi straszliwy niebyt: leżała. —

Szedłem dalej — — Cudnie piękna dziew-

czyna cicho dysząca w trumnie wydała mi się takim Ideałem, że pocałowałem jej wargi koralowe.

Wtem—ona ocknęła, zerwała się i wsparła na łokciach —

spojrzała we mnie — krzyknęła strasznie.

I padła. Z twarzy bez kropli krwi poznałem, iż jej pękło serce. Z oczu przerażonych wyrozumiałem iż przelękła się mnie — zaiste, teraz dopiero wiem, iż z wybitem okiem, z twarzą zmasakrowaną, z połamanymi i zdeptanymi skrzydłami muszę sprawiać wrażenie upiora, który ssie krew niewinnych.

Biegłem przez kurytarze, starając się ominąć trumny i roniąc łzy—w ręce ściskałem mały drewniany krzyżyk, który Zabita przezemnie uroniła z dłoni.

Krzyżyk ten zdał mi się być z głazów olbrzymich, zdawał się mi łamać ramiona. Potykałem się — lecz nie było Cyrenejczyka na ziemi ani w zaświatach mogącego nieść mi pomoc w tym biegu przez Cmentarz Moczaru.

Nagle zraniłem, padając, dłoń o coś ostrego — był to topór kamienny.

Widocznie leżał w mogile pradawnej, przez dżdże czy przez wylew rzeki rozmytej.

Wziąłem, i przy świetle lampki nad świeżym trupem gorejącej, poznałem iż to jest topór bojowy podobny do tych, jakich używali przy ludzkich ofiarach.

Błądziłem długo; wyjścia nie było — — —

Wtem uczułem mróz, który ścinał mi krew w żyłach mej Carotis exterior, doprowadzającej jak wiadomo, krew do mózgu —

oto posłyszałem poszept niewidzialnego Mroku —

mówi, że Mistrza Starego ceni, owszem, kto wie — może zaproteguje — — na jego pogrzebie powie mowę, pełną pereł, rubinów i liści jesiennych—; w perłach są łzy po nim, którego uznano jako Praecursora ich narodu; w rubinie — jest jego serce, które zamurują w Mauzoleum, a liście jesienne będą szeleścić pod stopami tych, którzy zrobią pieniądze na rozbitej Starca egzystencji.

Te ostatnie słowa Mroku wróciły mi całą przytomność. Pod surdutem mym tail się topór—niemniej straszny, niż mieli Kapłani Azteków do ludzkich ofiar.

Zamachnąłem w ciemnościach — lecz topór przeszył powietrze —

nie dotykając nikogo.

Powietrze mroczne napełniło się tylko pomrukiem nienawiści. Usłyszałem znowu głos Mroku już przypadającego do mego drugiego ucha, że jestem plotkarzem, moczaru niema, miasto jest nadal zbiorowiskiem jeśli nie potęgi, to w każdym razie niewinności uczciwych obywateli. I teraz jeszcze może mnie zaprotegują — —

Wydarłem się z lipkich objęć.

Nocami długiemi idę wciąż, choć rozbiwszy bramy cmentarne i mury więzienne, idę już swobodny.

Mnie przepaść nie zatrzymała, ani wasze gorejące bagno! mnie ostra siekiera Kapłana Azteków nigdy aż do ostatniego istnienia i dalej za grób —

nie wypadnie z dłoni!

Ja teraz wolny popłynę na mej Argonautycznej łodzi — lecz przyjdę do Was, wrócę — spojrzę Bestji w jej zdradzieckie źrenice, którymi nieszczęsny naród wiedzie na ostateczne zatracenie.

Tłomaczył *T. Miciński.*

„Król Duch" w całości.

St. Mleczko.

(1. Konstrukcja. 2. Rapsod o ks. Dymitrze. 3. Wyspiańskiego zakończenie 4. Zredagowanie. 5. Głębiny i powierzchnia).

(IX. Ciąg dalszy)

Właściwą introdukcją całego tego utworu jest przedmowa autora do rapsodu drugiego i gdyby poeta doczekał się wydania całości, to prawdopodobnie już na wstępie takąby właśnie przedmowę umieścił.

Oczywiście w razie ogólnego zastosowania musimy parę wyrazów opuścić, co wszakże nie zmieni ideowej i artystycznej wartości tego fragmentu. Jakże jasną i pełną treści przejrzystej staje się choćby zaraz naczelna zwrotka rapsodu pierwszego, jeśli ją poprzedzimy tą zwięzłą introdukcją:

„Polsko, ofiaruję Ci rapsody Króla Ducha. Znajdziesz w nich tajemnicę początku i końca — alfę i omegę świata, a zatym i ojczyzny. Znajdziesz początek sił antychrystowych przed wiekami zaczętych — znajdziesz tajemnicę ziarna—wpływu Ducha Świętego — cudów Izraelową rózgę Mojżesza przez duchy sprawowanych— nareszcie walkę sił pogańskich z Oświeciciela potęgą... Wyraźniejsze tych rzeczy wypowiedzenie wzbronione zostało dotąd poecie pod trwogą Boga zostającemu. Trudu doznasz, czytając niniejsze poema, a walkę będziesz musiał odbyć, duchu czytelnika, z duchem poety. Jeśliś leniwy—dzieło odrzucisz, wszakże zostaniesz pod zaklęciem prawdy, która ci w drodze wiedzy dalej iść nie pozwoli".

Wyraźniejsze tych rzeczy wypowiedzenie wzbronione zostało poecie... Podobnież w Z b o r o w s k i m anioły Lucyferowi głos zatrzymują, gdyż człowiek według tych imperatywów obowiązany sam poznać tajemnicę bytu, aby stać się godnym Królestwa Bożego na ziemi. I to jest właśnie „alfa i omega swiata, a zatym i ojczyzny" pierwszy raz ukazane nam w twórczości poetyckiej. Nie mówi tu więc poeta, że otrzymał jakiś mistyczny (w ścisłym znaczeniu) nakaz ze świata duchów, lecz jeno wyjaśnia, iż tylko przy pomocy tajemniczych symbolów zdolny jest nam wypowiedzieć wyczuwane w głębiach ducha swego „finalne" zagadnienie człowieka i całej tej „widzialności", której on jest stwórcą. Obyż to czytelnik zrozumiał! Cały utwór wtedy stanie mu się jasny.

We wszystkich regjonach poetyki Słowackiego, tam nawet, gdzie pozornie wszelki związek zerwany jest z realną rzeczywistością zawsze można dośledzić „nie pieśni próżny twór i nie chmurny lot Ikara" lecz intuicyjno-trzeźwy sąd wielkiego poety i myśliciela zarazem. Nietylko bowiem w poezji, ale i na polu społecznym lenistwo ducha, sprawiające niezdolność zrozumienia tej alfy i omegi, działaczom „dalej iść nie pozwala". Najstraszniejsza furja nic tu nie pomoże: grób muszą sami sobie wykopać. Słowacki to wiedział i w tym względzie bodaj z Goethem może być porównany, różniący się najzupełniej poetyzacją, ale równy mu zaciekawieniem i wszechstronnym ofiarnym w wielkiej pracy wewnętrznej kształceniem swego umysłu. Ani chwili podobnie jak autor Fausta nie zasnął on na wawrzynach. „Immer schreite, schreite!" I należy nam tu jeszcze raz stwierdzić, że przedewszystkim z samej jego twórczości należy wnosić o jej motywach i źródłach, rozbudzających symbolizującą fantazję. Notatnik, przygody autora i wykazy lektury powinny tu mieć znaczenie drugorzędne. Jeśli np. świeża róża porzucona nad oceanem śród dawnych świątyń druidycznych wydała się poecie ofiarą duchów, to stąd wniosków zbyt pośpiesznych nie wyprowadzajmy. Gdybyśmy nie wiedzieli, że to było wynikiem specjalnego twórczego nastroju owładającego wtedy poetą[2]) to napewno moglibyśmy tylko wnioskować o psychice przywidzeń i przesądów, mającej swą atawistyczną podstawę w naturze ludzkiej, od których podobno i tenże sam Goethe nie był wolny i wielu innych do tego typu należących.[3])

Rozpatrując przezornie twórczość autora A n h e l l e g o, musimy uznać, że nigdy on żadnej doktrynie, żadnej tajemniczości nie dał się owładnąć aż do pozbawienia się krytycyzmu; pomimo zasadniczej różnicy z typem goethowskim nie był to bynajmniej umysł opanowany, lecz zawsze prometeuszowy, panujący. Rozumiał on istotnie lepiej od Krasińskiego, iż ziemska dola nie jest dolą ducha na księżycu. Dążenia i natchnione pomysły poprzedników i swoista, usymbolizowana metafizyka były mu jeno bodźcem i budulcem dla ujawnienia własnych gmachów w podświadomości ukrytych w krainie wyobraźni twórczej. W tym względzie nie różni się od innych największych poetów. W K r ó l u D u c h u jednak występuje jako twórca nieporównanie samoistny. Tu bądźcobądź, aby się stała poezja, wszystko sam z wnętrza swego musiał wydobyć. To nam także wyjaśnia wielkie mocowanie się autora w tytanicznym zadaniu swoim

---

[1]) Próba innej przedmowy (t. IV str. 290) przypominająca Krasińskiego ustęp do T r z e c h m y ś l i L i g ę z y, sądzę, odrzucona została przez samego autora.

[2]) Związek między K r ó l e m D u c h e m i L i l l ą W e n e d ą, a druidami umiejętnie wykazał C. Jelenta w jednej z rozpraw pomieszczonych w „Społeczeństwie".

[3]) Nietylko przed „czystym" bezideowym estetyzmem, ale i przed nadmiarem „naukowości" należy bronić K r ó l a D u c h a, gdyż jedno i drugie niewłaściwie stosowane odciąga tu myśl od właściwego przedmiotu i raczej utrudnia niż ułatwia zrozumienie. Wszelkie pretensjonalne „impresje" również tu mogą jeno bałamucić. Refleksyjnie tylko wolno nam badać utwory genjuszów, intuicyjnie wolno je tylko uwielbiać nam, zwykłym śmiertelnikom!

śród nadzwyczajnej obfitości wytworzonych warjantów i fragmentów. [4])

Z niektórych można też zestawić drugie upoetyzowane, a niemniej syntetyczne motto dla całego tego utworu. Ogromne spotęgowanie treści ujrzymy wtedy w tych pięciu oktawach prześwietnych.

I.

Ten który w czasy i w dnie potopowe
Z poza mgieł przedarł się—duch naszej duszy
I z tęcz słoneczną pokazawszy głowę,
Zaklął się, że praw kamiennych nie ruszy,
Aż je złamiemy... niech te pieśni nowe
Napełni... a lutni mojej nie głuszy
A serca ludzkie niech uczyni pilne
Na to śpiewanie ciche, zamogilne.

II.

O wy, którzy mię jeszcze dziś słuchacie
Dawnego ducha tajemniczej mowy!
Niechaj wam pięknie w waszej śnieżnej chacie
Ta piesń ujaśni jaki dzień zimowy...
Jeśli jaskółce uchrony nie dacie,
Odejdzie od was—smętny... Bóg domowy;
Wiatr wam zawyje grobowemi usty
Tę smętną klątwę: otóż dom wasz pusty.

III

Lecz gdy przyjmiecie złote pieśni słowa,
Królowie będą w progi wasze wchodzić
Dziecię urodzi się wam i wychowa,
Złe duchy błysną, lecz nie będą szkodzić,
Jagoda wasza zawsze będzie zdrowa,
Pola wam będą złote zboża rodzić;
Drzewa—ściany wasze zgrzybiałe umają,
Modlitew--duchy złote wysłuchają.

IV.

Bom ja przed wieki w spichrzu nagromadził
Uczynków dobrych i anielskiej sławy;
Gdy mię Bóg ślepym przysłał i posadził
Na wielkim tronie—Pan Bóg mój łaskawy.
Pan, który o mnie z aniołami radził.
A wziął ofiarę z miecza i ze sławy.
Za grzechy moje i za zbrodnie moje.
Odjął odemnie mój Pan to oboje

. . . .

V.

A czy to cudzą powieść, czyli własną
Śpiewam: niechaj nikt o to mię nie pyta
Gdy dawne gwiazdy zachodzą i gasną
Nowa jak słońce różane zakwita,
Od której duchom starym będzie jasną
Praca i boleść dawno już przebyta,
A dziś ze smętkiem (ziemi) i miesiąca
Na długi przyszły czas zmartwychwstająca.

Nie zasługuje na lekceważenie uwaga p. M. Mossaczowej, że „Król Duch" mocą i bezpośrednością natchnienia mierzyć się może z Improwizacją Mickiewicza." Owszem sądzę, że jedynie ta Improwizacja mogła być najpotężniejszym bodźcem wyzwalającym w Królu Duchu donośny Słowackiego głos i przeciwstawienie jej tego nowego świata idei, którego genezę dziś J. G. Pawlikowski w całej pełni szczegółowo usiłuje nam wykazać.

Taka „powieść", rozpromieniając w nas najwyższe narodowe piękno jest wielkim budnikiem woli i bohaterstwa na wszystkich polach wyzwalającej działalności. Nigdy też nie uda się uczynić Słowackiego naszym znakomitym tenorem; wszelkie podobne uroszczenia poniosą zawsze sromotną porażkę. Jego apokalipsa jest stawająca się, od woli naszej i prawości naszej zależna, a nie oczekiwana jako nagły zwrot, katastrofa. „Czynem i pracą" każe on nam dar Ducha zdobywać, a lekceważy tych, co oń do nieba kołacą.

Pozostawił też poeta dla nas przedśmiertne słowa pożegnania, niechże one będą jako ostatnie domówienie w tych wzlotach niesłychanych.

I.

Pieśń tę zostawiam wiekom, które mają
Potężne ręce i potężne głosy,
Niech ją w niebiosach głośniej dośpiewają
Niż ja, kończący tu bolesne losy
Anioły moje już przybiegły zgrają,
Tłuką mi serce, targają mi włosy
I nazywają już wielką osobą
I szepczą... i już zapraszają z sobą.

[4]) Jeno piękne szablony wolne są od usterek artystycznych, w arcydziełach zazwyczaj dużo można ich wykazać. Lecz to niewiele przynosi pożytku, a jest wstrętne, gdy ośmiela „badaczów" do zbytniej, ubliżającej poufałości z autorem. Nie zdradzanie, lecz zrozumienie, współczucie i współtwórczość w tych razach znamionuje krytykę szlachetną i mądrą, zwłaszcza, gdy autor nie żyje i sam przeto nie może się bronić. Stosunek do Króla Ducha jest przytym wyjątkowy. Sądzę, że krytyk obowiązany tu jest przedstawić swą własną idealizację tego utworu, oczywiście, możliwie przedmiotową. Wszakże to artystyczna krytyka wieki całe pracując nad Iliadą i Odyssejią doprowadziła te epopee do najwyższej doskonałości.

II.

Bądźcie mi zdrowi moi tegocześni
Bracia - tym tylko różni od Śpiewaka,
Żeście lub mędrsi, albo mniej boleśni...

Wnikając w twórczość autora Anhellego, gdy chwilowo wyda się nam, że oto stanęliśmy u zenitu jego żywej czującej wyobraźni, mimowolnie pojawia się myśl, że to chyba ludzkości całej najwyższy genjusz poetycki. Wszystkie utwory poprzedników przetopił on na własne tworzywo i ponad wszystkimi kopułę ducha zbudował swej ojczyźnie, „aby ją podnieść tam gdzie Pan Bóg świeci—puścić, jeżeli żywa to poleci.” Pod względem artystycznej refleksji ma on rówieśników, a może i wyższych, lecz ze względu na potęgę natchnień twórczo-samoistnych, oraz intuicyjno-metafizycznej orjentacji, zdaje się nie ma on sobie równych.

A więc może stąd znowu pytanie, kto większy, Słowacki czy Mickiewicz? [5]) Kto pojmuje znaczenie ich obu w naszym piśmiennictwie i w bogactwach ducha narodowego, ten nie potrafi na to inaczej odpowiedzieć jak tylko wyrażeniem najwyższej czci dla obydwóch. [6]) Pisarzów niepospolitej inteligencji i wielkiego talentu mieliśmy i mamy dużo, ale jeno wielkie serce stwarza śród nich wszechspołeczną, na-
... potęgę.

Jednak już w Meleagrze, stara się Wyspiański wyjść po za grecką tragedję i pod względem językowym pozwala sobie na osobliwości, któreby klasyka Felicjana były raziły. Wogóle daje się Wyspiański unosić temperamentowi; a Faleński jest mądry, rozważny, spokojny — i to może jedna z przyczyn jego niepopularności. Nie wiem, czy olbrzymi u nas wpływ poezji romantycznej tylko od tego zawisł, że romantyczny okres dał nam największych poetów; romantyzm jest może jednak jedną z cech narodowego temperamentu; jeżeli nie rdzenną, to nabytą skutkiem dziwnych naszych losów i niebywałej zgoła historji ostatniego wieku. W każdym razie klasyczna mądrość liczyć może u nas tylko na chłodne uznanie.

I jeden jeszcze wniosek da się wyprowadzić, jeżeli porównamy Wyspiańskiego z Faleńskim. Wyspiański wszędzie, zawsze i we wszystkim widzi Polskę; już w „Meleagrze" w opisaniach krajobrazu, w ilustracjach do Iljady — czuć dążenie do przeprowadzenia analogji między Grecją a Polską; w późniejszych dramatach Wyspiańskiego dążenie to występuje jasno zgoła. A Faleński narodowym nie był. Jego „Królowa", jeden z nielicznych utworów, na polskiej historji osnutych, pełen jest mądrości historycznej

Mówiliśmy o tym, jak ściśle poezja romantyczna zrosła się z duszą polską. Ale w ostatnich zwłaszcza czasach nadużyliśmy tego romantycznego rozwichrzenia. Zapomnieliśmy o głębokim, tajemniczym znaczeniu spokojnego i nieśmiertelnego piękna, co nigdy się nie śmieje i nigdy nie płacze, o wielkich, mistycznych prawach kompozycji i budowy. Czytający prozą pisane „argumenty" Dantego do „Nowego życia" ze zdumieniem prawie widzi, że te perły uczucia, od łez czystych czystsze, że te słodkie sonety i „canzony" z rozmysłem i rozwagą budowane były według odwiecznych, mądrych praw budownictwa poetyckiego. Tak budować umiał Faleński. Tak już u nas rzadko kto komponować umie.

A drobniejsze wiersze Felicjana? Mądrość życiowa w nich zawarta, to nie poczciwa mądrość Reja; niema tam tego humoru, ani tej rubasznej prostoty, ale jest dużo, dużo ironji jest Norwidowskie zamyślenie człowieka, który w zadumie pogląda na problematyczność swoich czasów. A my — problematów myślowych nie lubimy, życie biorąc z prosta, uczuciem raczej, niż rozumowaniem.

I oto jest jedna jeszcze przyczyna niepopularności Faleńskiego.

Pozwolimy sobie rzec, że w naszej dziwnej, chorobliwej epoce, pełnej szaleńczych rwań, wzlotów i upadków, że w naszym chorym, obłędnym społeczeństwie zadziwiał Faleński, jako niezrozumiały nam okaz człowieka doskonale zrównoważonego i o zupełnie zdrowym smaku estetycznym. Przetośmy go pojąć i ukochać nie mogli. Przeszedł śród nas szanowany, ale obcy.

Bibliografja.

Roman Kreczmer. Poezje. Warszawa, 1911 Gebethner i Wolff.

Ludwik Glatman. Wielka wojna, szkic historyczny. Warszawa, M. Arct.

Tadensz Dybczyński. Wiadomości początkowe z pantologji. Warszawa, M. Arct.

Marja Weryho. Cztery pory roku. I Lato. Jesień. Warszawa 1910, M. Arct.

Prentice Mulford. Niewyzyskane siły życia. Warszawa M. Arct.

St. Nowodworski. Najem pracy fabrycznej. Poznajmy prawo. № 2. Nakł. miesięcznika „Prąd". Warszawa 1911.

Dr. J. Pascal. Główne zarysy teozofji. Przekład H. Krzemienieckiej. Warszawa 1911.

Walenty Zieliński. Królewskim szlakiem. Warszawa 1911 Gebethner i Wolff.

Jak ja to widzę.

Poor Yorick.

— **Jubileusz Bolesława Limanowskiego**. Sędziwemu pracownikowi na polu historji naszej i zasłużonemu działaczowi społecznemu — Bolesławowi Limanowskiemu władze austrjackie po 28 latach wygnania pozwoliły niedawno powrócić do kraju, pod warunkiem jednak, że „nie będzie im mącił spokoju żadną rewolucyjnością".

Obecnie z powodu przypadającego w roku bieżącym pięćdziesięciolecia pracy naukowej i 75-ej rocznicy urodzin Limanowskiego, liczne grona naszego społeczeństwa postanowiły uczcić niepospolite zasługi i nieskazitelny charakter posiwiałego w walce weterana.

Aliści policja krakowska dopatrzyła się w projekcie urządzenia jubileuszu chęci mącenia jej spokoju i zagroziła Limanowskiemu, że, o ile jubileusz dojdzie do skutku, c. k. władze odstawią jubilata z powrotem do granicy.

Być może iż prezes ministrów i minister spraw wewnętrznych, do których udali się z protestem p.p. Hudec i Djamand uchylą tę groźbę krakowskiej dyrekcji policji, w każdym jednak razie jest to charakterystyczne, że dla ukrócenia polaka Banasia trzeba się odwoływać aż do austrjackiego ministra Aehenthala.

— **Gen. Tołmaczew pozostaje** Zaraz po audjencji u p. P. A. Stołypina naczelnik miasta Odessy, gen. Tołmaczew przesłał telegraficznie groźny ukaz, by pośpieszono się z odrestaurowaniem jego mieszkania. Pan generał odniósł podobno zwycięztwo pyrrhusowe, gdyż według pogłosek musiał wysłuchać na audjencji niemało gorzkich uwag i przymówek, głównie z racji ciągłych starć jego z przedstawicielami różnych wydziałów. Do rzędu niezadowolonych z działalności Tołmaczewa należał również departament spraw ogólnych ministerjum spraw wewnętrznych.

Tołmaczewowi wskazano na ciągłe wtrącanie się do sfery działalności osób urzędowych i instytucji, wychodzących poza zakres jego pełnomocnictwa. Gen. Tołmaczew, odpierając zarzuty, objaśniał, że wystąpienia jego miały zawsze na celu dobro sprawy. Wyjaśnienia te uznano w ogólności za niedostateczne, w końcu jednak zaważył na szali jego losu wielki atut — pomyślny wynik wyborów do Dumy państwowej.

Dzięki wpływom zakulisowym gen. Tołmaczewa pozostawiono na stanowisku z ostrzeżeniem, że na przyszłość wszelkie ekscesy z jego strony nie będą tolerowane.

— **Gramy wreszcie w otwarte karty.** W ślad za duchowieństwem Lwowskim poszli i księża katoliccy w Petersburgu, którzy odmówili odprawienia nabożeństwa „za duszę ś. p. Marji Konopnickiej". Fakt ten miał wywołać wielkie wzburzenie wśród kolonji polskiej, choć właściwie jest on raczej pocieszającym i jako signum temporis doniosłe posiada znaczenie. Dotąd bowiem kler trzymał się odmiennej taktyki: przyjęcie sakramentów wystarczało do przekreślenia całego życia zmarłego, kler stawał w komplecie nad grobem „nawróconego" w agonji, a w ostateczności w mowie pogrzebowej wtrącało się kilka słów żalu, że zmarły nie zawsze był wierny kościołowi, to zaś przypisywało się często nawet roztrojowi nerwów i t. p. Słowem dokonywano czegoś w rodzaju żydowskiego obrzezania po śmierci. Obecnie, zdaje się, wkraczamy w nową erę i zaczynamy szanować swe granice, i klerowi, który zrzekł się wreszcie przywileju anektowania wiernych po śmierci, wdzięczność się tylko od nas należy.

— **Pan Bukowiński się starzeje.** W ostatnim zeszycie *„Sfinksa"* pan Bukowiński z okazji wystawienia „Snu srebrnego Salomei" bierze w obronę kierownika literackiego i reżysera dramatu i komedji i z całą swadą swego ognistego pióra rzuca się na sprawozdawcę *„Gazety Warszawskiej"* — bliżej mu nieznanego—nawet z nazwiska—p. L. K. za to, że jest młody. Tak za to, że p. L.K. jest młody, bo tylko człowiek bardzo młody, mówi pan Bukowiński, wypowiadać może „z taką pewnością siebie równie ryzykowne sądy".. A jakie to ryzykowne sądy, podamy również we własnych słowach p. Bukowińskiego: p. L. K. „ogłasza wszem wobec i każdemu z osobna, że Słowackiemu (w teatrze) n i c j u ż n i e z a s z k o d z i", że aktorzy nasi z nielicznymi wyjątkami, mówić nie umieją", „że Kotarbiński troszczy się tylko o wydobycie możliwego dźwięku ze zdezelowanego i chrapliwego głosu".

I p. Bukowiański uważa, że trzeba być „bardzo młodym" (sens pogardliwy), by mówić równie ryzykowne rzeczy! Ale z tego można wywnioskować, jak mało ryzykowne rzeczy mówi sam p. Bukowiński. To też p. Bukowiński głównie cytuje.

„Kennst Du das Land wo die Zitatchen blühen"? — Jest to kraj najmniej ryzykownych wypowiedzeń się...

A dalej ten pogardliwy ton względem czyjej młodości, o czym innym znowu świadczy—mianowicie, że sam p. Bukowiński zaczyna się już starzeć; wtedy bowiem dopiero widok młodości budzi to subtelne uczucie niechęci złożone z żalu, obaw i zazdrości. Tak, tak, wtedy również traci się pewność siebie i wypisuje się naprz. takie zdania: „gdybym nawet n i e w i d z i a ł sam dodatnich wysiłków obecnego kierownictwa literackiego... na kompetencji w tych rzeczach, na bezinteresowności, a zwłaszcza na szczerości Władysława Bogusławskiego p o l e g a ł b y m"... — Zadziwiający stosunek do własnych odczuć, wrażeń i sądów! Co zakrytyczymi P. Bukowiński musi prowadzić ze sobą takie monologi: gdybym nie widział że mnie boli żołądek, polegałbym na mym lekarzu, który przepisywał mi olejek rycynowy.

— **Hrabia Wodzicki protestował** w delegacjach austrjackich przeciw okazywaniu przez bar. Aehrentala sympatji ruchowi młodotureckiemu, przeciw bierności Austrji wobec uwięzieniu sułtana Abdul-Hamida i ewentualnej aprobacie rzeczypospolitej w Portugalji. Gdyby do tych punktów dodać jeszcze protest przeciw darwinowskiej teorji gatunków i zasadzie postępowego podatku od dochodów — byłby to kompletny katechizm współczesnego hrabiego typu kopalnianego. Okazuje się, że prócz puszczy Białowieskiej w której przechowały się dotąd słynne żubry, posiadamy jeszcze inne nie mniej ciemne puszcze, w których grasują całkiem już dziś nieznane gdzieindziej gatunki mamutów.

WARUNKI PRENUMERATY:

W WARSZAWIE:

rocznie	rb. 8
półrocznie	„ 4
kwartalnie	„ 2

Redaktor przyjmuje od godz. 4 pp. do 6.

Na prowincji i Zagranicą:

rocznie	rb. 10.—
półrocznie	„ 5.—
kwartalnie	„ 2.50

Cena pojedyńczego numeru kop. 15.

CENY OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu I-a str. 30 kop., II i III str. 20 kop., ostatnia str. 25 kop.
Ustępstwo: Od 6 do 12 razy 20%, od 12 do 24 ogł. 30%, od 24 do 52 ogł. 50%.

Kierownik pisma **Stefan Gacki.** Redaktor i wydawca: **Anna Herszfinkiel.**

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy-Świat 47. Tel. 35-80.

Kierownik pisma Stefan Gacki. Redaktor i wydawca Anna Herszfinkiel.
Druk. Art. K. Kopytowski i S-ka, Nowy-Świat 47. Tel. 35-80.